



# JORDI SIERRA I FABRA

SZEŚĆ DNI W GRUDNIU

ALBATROS

# 1

Nigdy się nie spierali, chyba że chodziło o wybór filmu w niedzielne popołudnie.

Tamtej niedzieli wyjątkowo trudno było im dojść do zgody.

– Co powiesz na *Hamleta* w Windsorze?

– Tylko jeden? Wiesz przecież, że wolę iść na dwa, przynajmniej dłużej sobie posiedzimy w cieple.

– W *Hamlecie* gra Laurence Olivier. Poza tym Szekspir to zawsze Szekspir...

– Nie mam pojęcia, co to za jeden, no i wygląda strasznie poważnie. To jakiś dramat?

Jej prostoduszność jednocześnie fascynowała i zadziwiała Miquela.

– Tak, dramat – potwierdził. – Nigdy nie słyszałaś o „być albo nie być”?

Patro spoglądała na niego pustym wzrokiem.

Nie musiała nawet odpowiadać.

Miquel wrócił do przeglądania repertuaru kin w „La Vanguardii”; Patro siedziała przy nim na kanapie zwinięta w kłębek.

– Na drugiej stronie zapowiadali jakiś film z Ingrid Bergman. – Westchnęła. – Chyba *Joannę d’Arc*.

– Zapomniałaś, że jestem niewierzący?  
– A to nie jest o wojnie?  
– Na koniec zrobili z niej świętą.  
– Ale zanim została świętą, walczyła na wojnie, prawda? Słyszałam w radiu.

– Nie mam zamiaru oglądać filmu, który ma na plakacie wielki napis: *Propaguje wartości narodowe*.

– Nie bądź taki...  
– Ja już znam te ich wartości narodowe.  
– Zobacz, na przyszły tydzień zapowiadają film z Ritą Hayworth – powiedziała Patro ugodowym tonem. – I gra w nim Victor Mature. Lubisz przecież Ritę Hayworth.

– W takim razie w przyszłym tygodniu pójdziemy na niego. – Miquel z uwagą studiował zapowiedź *My Gal Sal*. – Ale jeżeli zaraz nie wyjdziemy... Zwłaszcza jeśli wybierzemy któreś z oddalonych kin...

Skupili się na programie.

– Szkoda, że nie lubisz varieté. – Patro westchnęła.

Wolał nie poruszać tego tematu. Nie cierpiał, kiedy między dwoma seansami wychodziła na scenę jakaś piosenkareczka albo inny artysta od siedmiu boleści, żeby wykonać swój numer.

– Może *Tap Roots* z Susan Hayward i Vanem Heflinem? Grają go w Aristosie, Cataluñi i Principal Palacio. Do każdego zdążylibyśmy na czas.

Patro nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi. Nie spojrzała nawet na niewielkie ogłoszenie. Jeśli chciała zobaczyć dwa filmy, zobaczą dwa. Wskazała zbiorczy repertuar wszystkich kin:

– W Roxy grają *Drogę do Yellow Sky* i *Una mujer cualquiera*. Oba nieźle wyglądają.

Poszli więc do Roxy.

Na ulicy musieli znów stawić czoło grudniowym chłodom, Patro wtulona mocno w jego ramię, a on szczęśliwy, że ma ją przy sobie.

W końcu coś mogło być ważniejsze?

Zeszli powoli po kilku stopniach głównego wejścia do budynku i ruszyli dawną ulicą Salmerona, zostawiając za plecami plac Lessepsa. Miquel zadał te same co zawsze obowiązkowe pytania:

– Podobały ci się?

– *Una mujer cualquiera* tak. María Félix grała świetnie. Ale nie da się porównać tego filmu z *Drogą do Yellow Sky*... Gregory Peck i Richard Widmark są tacy przystojni... – Nazwiska aktorów wymawiała po swojemu, nie bacząc na zasady języka angielskiego.

– A wiedziałaś, że scenariusz *Drogi do Yellow Sky* opiera się częściowo na *Burzy*, jednym z dzieł Szekspira, o którym ci mówiłem?

– Jakiś ty mądry. – Uśmiechnęła się słodko.

Chętnie by ją objął i pocałował na środku ulicy.

Ale się pohamował.

– Idziemy do domu piechotą, czy wsiadamy w dwadzieścia sześć? – zapytał żonę.

Swoją żonę.

Wciąż się nie mógł nadziwić – kiedy myślał o niej w ten sposób czy gdy wypowiadał słowo „żona” na głos.

– Tramwajem przejedziemy niewiele więcej niż pół drogi – rozważała Patro. – Jest zimno, ale ja lubię chodzić, a tobie to dobrze robi.

– Wiesz, ile razy przeszedłem całą Barcelonę?

– W pracy, a to się nie liczy. Dziś jest niedziela i zrobimy sobie spacer... Kim był ten Sze... Szek...

– Szekspir.

– Właśnie.

– Anglikiem, który żył dawno, dawno temu i stworzył najlepsze sztuki teatralne swoich czasów, jak na przykład *Romea i Julię*.

– To jego? – Zdziwiła się, że zna jakąś.

– Owszem.

– I żył dawno temu, i wciąż jest znany?

– Tak jest.

– Pięknie. – Sława Szekspira zrobiła na niej wrażenie.

Nie odezwała się przez następnych kilka minut; szła w zamyśleniu, a Miquel przyglądał się jej tylko spod oka. Co dzień była piękniejsza. A on starszy. Wojna domowa skończyła się w 1939 roku, z Doliny Poległych wyszedł w lipcu 1947. Minęły dokładnie dwa lata i cztery miesiące.

Całe życie.

Które bez Patro byłoby zupełnie innym życiem.

Właśnie miał ją zapytać, czy zjedzą kolację w barze u Ramona, czy w domu, gdy jakiś mężczyzna zatrzymał się nagle w pół kroku i zapatrzył w Patro jaśniejącym wzrokiem.

Zauważyła go i zaraz spuściła głowę, a Miquel poczuł silniejszy uścisk jej ręki na ramieniu.

Spłonęła rumieńcem.

– Patrzy na ciebie, bo jesteś śliczna – odezwał się Miquel.

– Dziękuję.

– Nie bądź niemądra.

Zawsze działo się to samo. Kiedy na ulicy ktoś zwrócił na nią uwagę, nigdy nie wiedziała, czy dlatego, że jest młoda i atrakcyjna, czy może pamięta ją z dawnych czasów.

Z ciężkich czasów.

– Miquel.

– Słucham cię.

– Nigdy nie myślisz o tamtych mężczyznach, którzy...?  
– Proszę, nic już nie mów. – Przerwał jej stanowczo, zaskoczony pytaniem. – A odpowiedź brzmi: nie.

Sądził, że będzie nalegała.

Pomylił się jednak.

Szli przez miasto w milczeniu. Już nie trzymała go tak kurczowo za ramię, z jej twarzy niespodziewanie zniknął rumieniec wstydu. Miquel znów zobaczył w niej tamtą wystraszoną dziewczynkę, którą odnalazł w lipcu 1947 roku, pierwszego roku nowego życia, całkowicie inną niż ta, która została jego żoną i poza którą teraz świata nie widział.

– Miquel – odezwała się ze słodyczą w głosie, niemal szepcząc.

– Słucham. – Wstrzymał oddech.

– Bardzo cię kocham.

– Co za szczęście! – Wypuścił z ulgą powietrze.

– A gdybyśmy mieli dziecko?

W osłupieniu znów stracił oddech. Poczuł, jak mu sztywnieje kręgosłup, a w głowie zaczyna dziwnie wirować. Najgorszy był jednak żołądek, który nagle się ścisnął w węzeł.

– Cholera, Patro!

– Nie myślałeś o tym?

– W moim wieku? Nie!

– Nie jesteś taki stary.

– Zdziadziały.

– Stary.

– Niech będzie, nie jestem taki stary, ale nie sądzę, żeby moje plemniki miały w sobie dość krzepy. Raczej są rachityczne i kto wie, czy już nie oślepyły albo nie straciły witek.

– Nie bądź taki sarkastyczny. Chciałbyś mieć dziecko czy nie?

- Nie mam pojęcia. – Prerażony, uniósł brwi.
- Wiem, że straciłeś syna i następne dziecko go nie zastąpi, ale...
- Patro, spójrz na mnie.

Zrobiła to.

- Chcesz mieć dziecko? – spytał.
- Nawet mi to do głowy nie przyszło.
- No więc o co chodzi?
- Spóźnia mi się okres.

Do wirowania w głowie, sztywnych pleców i ściśniętego żołądka dołączyła nagle miękkość w kolanach.

– Ile dni?

– Dwa.

– Dziewczyno, to przecież niewielkie spóźnienie... – Nie był pewien, czy może czuć ulgę.

– Wiesz, że jestem jak zegarek.

– Ciało się zmienia, zrobiło się nagle zimno... – Szukał kolejnych argumentów.

– A jeśli jestem w ciąży?

Rozmawiali, nie przerywając marszu. Teraz jednak Miquel się zatrzymał. Doszli już do rogu z ulicą Astúries. Anielskie oblicze jego żony przepełniały światło i czułość.

– Czujesz się, jakbyś była?

– Czuję się dziwnie.

– To to samo.

– Nie, nie to samo. Ale jak tylko pomyślę... Już samo to, że mogłabym być w ciąży, sprawia, że czuję się dziwnie. Nie chcę, żebyś się na mnie rozżłościł.

– Dlaczego miałbym się na ciebie złościć?

– Nie wiem. – Błysk na chwilę rozjaśnił jej spojrzenie.



– Słuchaj, jeśli jesteś w ciąży... to dobrze. – Miquel przełknął ślinę. – Czasem myślę, że kiedy umrę, będziesz się czuła bardzo samotna.

– Będziesz jeszcze żyć dwadzieścia albo trzydzieści lat, a wtedy je też będę już stara. Nie gadaj głupot.

– Ale i tak zostaniesz sama. Więc jeśli będziesz mieć dziecko...

– Jeśli będziemy mieć dziecko – poprawiła go i dodała: – Ale i tak myśl o tym cię przeraża, prawda?

– Oczywiście. Wiele lat przesiedziałem w więzieniu, nie mam pojęcia, ile moje ciało może jeszcze wytrzymać, i to oczywiste, że umrę przed tobą. Kiedy sobie wyobrażę, że miałbym nie zobaczyć, jak moje dziecko dorasta albo że będzie dorastać bez ojca, robi mi się ciężko.

– Możesz w końcu przestać powtarzać, że umrzesz?

– Ale...

– Jesteś szczęśliwy?

– Tak.

– Więc nie umrzesz! Szczęśliwi ludzie są zadowoleni i przejście na drugą stronę zabiera im więcej czasu!

Powalająca logika.

Bardzo w jej stylu.

Patro ruszyła dalej, a on za nią.

Po kilku minutach ciszy odezwał się:

– Poprawił ci się humor?

– Nie mam pojęcia. – Na jej twarzy pojawiła się niepewność. – Naprawdę w ogóle o tym nie myślałam i nagle... Jeśli rzeczywiście jestem w ciąży, wszystko się zmieni. Co zrobimy?

– A co mielibyśmy zrobić? – Miquel uznał to pytanie za absurdalne. – Będziemy żyć dalej.



- Utyję i zrobię się brzydka.
- I tak cię będę uwielbiać.
- Tylko dlatego, że jesteś zakochany.
- To też.

Nie rozmawiał w ten sposób nawet wtedy, gdy był młody. Z Quimetą nigdy nie zachowywał się tak dziecinnie. Jeśli to prawda, że ma się tyle lat, ile osoba, którą się kocha, to on dobijał do trzydziestki, Patro zaś była już dobrze po sześćdziesiątce. Nie do pomyślenia. Czasem się zastanawiał, co zostało z Miquela Mascarella sprzed wojny albo nawet z tego z czasów wojny, kiedy Quimeta umierała, a on patrzył, jak kończy się świat i ginie wszystko, co znał, a przede wszystkim wolność.

- Weźmiemy taksówkę – zaproponował, widząc, że się trzęsie.
- Już zaczynasz? Nie jestem chora i lepiej nie wydawać bez potrzeby pieniędzy z czterdziestego siódmego.

Zawsze tak je nazywali: „pieniądze z czterdziestego siódmego”.

Ciągle żyli z tej niewielkiej fortuny, zarządzając nią rozsądnie i ostrożnie.

I starali się nie zwracać na siebie uwagi.

- Zrobiło się chłodno – naciskał Miquel.
- W domu rozpalimy w piecyku i posłuchamy radia. – Oczywiście wyjaśniały. – Albo i nie.
- Nie?
- Może się rozgrzejemy i od razu wskoczymy do łóżka?
- Bez kolacji?
- Bez kolacji. – Puściła do niego oko.
- Patro...
- Jeśli mam utyc i zbrzydnąć, lepiej korzystać, póki można, prawda?

Przymknął oczy. Jej radość działała na niego jak balsam. Gdy się śmiała, wszystko przestawało być ważne. Powtarzała, że dwa razy uratował jej życie. Miquel myślał to samo o lipcu 1947, kiedy pierwsza noc z Patro wyznaczyła po jego powrocie do Barcelony granicę między przed i po. Później, pewnego październikowego poranka w 1948 roku, oboje znaleźli się krok od śmierci.

Lecz wciąż byli razem.

Patro zdolna do radości.

Odłożyli rozmowę na później, ale nieznacznie przyspieszyli kroku. Dotarli do alei del Generalísimo i poszli nią dalej. Na wysokości Via Laietana Miquel po raz pierwszy zerknął w bok, ponieważ zdawało mu się, że dostrzegł coś dziwnego.

Uznał jednak, że to nic ważnego.

Przechodząc obok baru Ramona, tuż przy ich domu, natknęli się na właściciela, który mimo dojmującego chłodu stał w drzwiach w samej koszuli.

- Dobry wieczór miłemu państwu!
- Dobry wieczór, Ramon – odpowiedziała Patro.
- Kolacyjka?
- Dzisiaj nie, dziękujemy.
- Wracają państwo z kina?
- Tak.

Miquel obawiał się tego, co miało zaraz nadejść.

I co było nieuniknione.

- Wie pan, co się stało z Barcą, prawda? – Ramon cmoknął.
- Nie mam pojęcia.
- Przegrali! – wykrzyknął, jakby stała się jakaś wielka tragedia. – I to na Les Corts! Z papugami z Espanyola! Co pan na to?
- No, nie wiem.

– Ledwo sobie radzili! – Właściciel baru rozżłościł się jeszcze bardziej. – Nawet César nie umiał strzelić! Przegrywają ze wszystkimi, ale z Barcą... nie, z Barcą wygrywają! Do tego...

– Jutro mi opowiesz. – Miquel nawet się nie zatrzymał i delikatnie pociągnął za sobą żonę.

– Pan, szefie, to ma dobre życie. Kino, same przyjemności i nie musi się pan niczym martwić!

Gdy bar został za ich plecami, Patro uśmiechnęła się złośliwie.

– Ależ się na mnie uwziął! Ciągłe chce rozmawiać o piłce nożnej! – narzekał Miquel.

– Dziwak jesteś.

– Bo nikomu nie kibicuję?

– Gdyby nie piłka nożna, połowa mężczyzn zupełnie by oszalała.

Miquel nie odpowiedział.

Odwrocił głowę i tym razem zobaczył go jak na dłoni.

Nim tamten zdążył zniknąć za drzewem z dość grubym pniem.

– Coś się stało? – spytała Patro.

– Nie, nic – skłamał. – Myślałem, że kogoś tam zobaczyłem.

Doszli do domu i szybko otworzyli drzwi wejściowe; na klatce schodowej na szczęście nie spotkali nikogo, co Miquela zawsze napawało radością, jakby wciąż czuł ciężar plotek sąsiadów, którzy krytykowali go za ożenek z tak młodą kobietą. Patro ruszyła zaraz w kierunku łazienki, on do okien wychodzących na ulicę. Nie zdjął nawet płaszcza.

Z trudem przesunął zasłonę.

Stał tam. Na ulicy. Niepewny i podenerwowany.

Miquel westchnął.

Cokolwiek to było, im szybciej sprawa się rozwiąże, tym lepiej.

Nie miał ochoty zrywać się rozgrzany z łóżka.

- Zaraz wracam! – zawołał do Patro, stojąc już w progu.
- Wychodzisz? Dokąd idziesz?
- Potem ci wytłumaczę.
- Poczekaj!

Nie zamierzał czekać. Szybko wyszedł i zamknął za sobą drzwi, zanim Patro wyszła z łazienki, zaskoczona jego zachowaniem. Zbiegł nawet po schodach, żeby przypadkiem nie zdążyła go złapać na klatce i zasypać pytaniami.

Kiedy znów znalazł się na chłodnej ulicy, tamtego nigdzie nie było widać.

Ale wiedział, że tam jest.

- Lenin! – zawołał.

## 2

Nie wyszedł od razu. Znów stał ukryty za drzewem, na samym rogu, jakieś pięć metrów od Miquela.

– No już, Lenin, wychodź.

Stary złodziejasek wysunął głowę zza pnia.

– Cholera, pan inspektor, co za niespodzianka! – Lenin nieporadnie udawał zaskoczenie.

– Raczej niewielka, zważywszy na to, że już od jakiegoś czasu za mną idziesz.

Odczekał, aż złodziej całkiem wyjdzie z ukrycia.

– Ja?

– Lenin...

Obwieś, którego nie raz i nie dwa zatrzymał przed 1936 rokiem i z którym spotkał się ponownie w areszcie w nocy trzydziestego maja, dokładnie pół roku temu, rozejrzał się przerażony po ulicy.

– Człowieku, nie drzyj się tak! – rzucił.

Ten sam strach.

Albo nawet większy?

– Więc nie nazywaj mnie inspektorem – burknął Miquel zmęczonym nagle głosem.

– Dla mnie zawsze pan będziesz inspektorem Mascarellem, nic na to nie poradzę. – Lenin podszedł, ostrożnie stawiając kroki.

– A dla mnie zawsze będziesz Leninem, też nic na to nie poradzę. – Miquel przyjrzał się złodziejowi dokładnie. – Dlaczego za mną szedłeś?

– Hm... – Lenin przygryzł dolną wargę, przecesał palcami rozczochrane włosy i wbił spojrzenie w ziemię. – Nie stracił pan formy, co? Oczy na plecach.

– Jesteś dobry w wyciąganiu ludziom portfeli, ale do śledzenia to się lepiej nie zabieraj, na dodatek z takim wyglądem.

Lenin obrzucił spojrzeniem swoje ubranie.

– To moje najlepsze – powiedział, jakby chciał się wytłumaczyć.

– Czekaeś, aż będę sam, prawda? No to jestem. Do dzieła.

Uparte milczenie.

– Gadaj albo wracam na górę. Zimno mi. – Miquel zaczął drzeć.

– Tak, zgadza się. – Lenin wreszcie się poddał. – Chciałem złapać pana samego.

– No to mów, o co chodzi.

Stary złodziej popatrzył w górę i zlustrował spojrzeniem fasadę budynku, z którego chwilę wcześniej wyszedł Miquel. Zatrzymał wzrok na oknach ich mieszkania, Miquela i Patro. W jego oczach pojawił się cień zazdrości i niepokoju. Zdawało się nawet, że się skurczył, choć przy jego mikrych rozmiarach było to raczej niemożliwe.

– Ładna jest ta pańska żona, prawda? – szepnął.

– Bardzo.

– I taka elegancka, widać, że ma klasę.

– Lenin...

Miquel odniósł wrażenie, że złodziejasek zaraz się rozpłaczę. Lenin skrzyżował ręce na piersi i zaczął pocierać ramiona. Miał wypłasiaste oczy i wynędzniałą twarz, stał bez płaszcza, w starej marynarce zapiętej po samą szyję, owinięty szalikiem, który dawno stracił kolor. Nic dziwnego, że marzył. Miquelowi zrobiło się go żal.

Tamtej nocy, trzydziestego maja, Miquela zatrzymano – nie wiadomo za co – gdy szukał zabójcy swojego przyjaciela Mateu Galvanya, i w Głównym Komisariacie przy Via Laietana Lenin był dla niego jedynym wsparciem. Dziwaczne spotkanie: stary policjant i stary złodziej połączeni zbiegiem okoliczności.

– Wpakowałem się w kłopoty, inspektorze – powiedział teraz Lenin zduszonym głosem.

– Zgłoś się na policję.

Na twarzy starego złodzieja pojawiło się niedowierzanie zmieszane ze zdziwieniem.

– Ja? Nie pieprz, człowieku!

– Dlaczego przyszedłeś z tym do mnie?

– Powiedziałem panu tamtej nocy, pamięta pan? Zawsze był pan dobrym człowiekiem, uczciwym. Wywiązywał się pan tylko ze swoich obowiązków. Żadnego bicia ani poniewierania. Każdy robił swoje, ale z szacunkiem dla drugiego.

– Lenin, ja też ci coś powiedziałem tamtej nocy: odszedłem na emeryturę. Jestem byłym policjantem, a nawet więcej, byłym skazańcem. Ponad dwa lata temu wyszedłem z Doliny Poległych, ożeniłem się i postarzałem.

– Ale doświadczenie to doświadczenie. – Lenin rozłożył ręce w błagalnym geście. – Jeśli nie może pan więcej, to chociaż niech mi pan doradzi.

– Sprawa jest aż tak poważna?



– Wydaje mi się, że tak. – Stary złodziej zadrżał, choć chyba nie z zimna. – Gdyby chodziło tylko o mnie... to wie pan, zasłużyłem sobie, wiadomo, jak sobie pościelesz, tak się wyśniesz.

– Wyśpisz.

– Co?

– Tak się wyśpisz...!

Lenin tylko wzruszył ramionami.

– Dalej, mów, co chciałeś powiedzieć. – W miarę jak zapadała noc i temperatura się obniżała, zimno doskwierało Miquelowi coraz bardziej.

– No więc gdyby chodziło tylko o mnie, to trudno, zdarza się. Ale mówiłem już panu, że ożeniłem się i mam dwójkę dzieci: pięcioletniego synka i czteroletnią córeczkę. Gdyby coś im się stało, chybabym umarł, rozumie pan? Te dzieciaki to najlepsze, co mi się w życiu zdarzyło.

– Kłamiesz.

– Nie! Naprawdę! – zarzekał się Lenin, mrużąc z przejęcia oczy. – Pan też był przecież ojcem!

Miquel zacisnął dłonie w pięści.

– Nim jeszcze zdążyłeś powiedzieć wszystko do końca, już zaczynam żałować.

Lenin zamilkł.

Ulica była pusta. Skrzyżowanie Girona i València zdawało się zagubione w jakimś ciemnym zakątku Barcelony. Gdyby spadł śnieg, zamieniliby się w dwa bałwany.

– Jak mnie znalazłeś? – spytał Miquel.

– Po tamtej nocy zacząłem wypytywać to tu, to tam, żeby się czegoś o panu dowiedzieć.

– Po co?

– Z ciekawości, żebym mógł pana znaleźć, jakby co... Nie wiem. Nigdy nie wiadomo, kiedy będzie się potrzebować przyjaciół.

– Przyjaciół? To teraz jesteście przyjaciółmi?

– W ciupie pomogłem panu.

– Znalazłeś mi miejsce do siedzenia i pomogłeś się wysikać.

– A to łączy, nie?

Miquel skapitulował. Znał Lenina. Mimo upływu lat w podstawowych kwestiach ten człowiek nie zmienił się ani na jotę. Dużo próżnego gadania i czysty instynkt przetrwania, choćby nie wiadomo co się działo.

– To co chcesz mi powiedzieć, to długa historia?

– Dosyć.

Żegnaj wieczorze z Patro w łóżku i bez kolacji.

Zapragnął, żeby na Lenina spadł grom z jasnego nieba.

Nic się jednak nie stało.

– Wchodź na górę! – Odwrócił się i ruszył w stronę drzwi wejściowych. – Zimno jak w psiarni.

– A co na to pani? – spytał z wahaniem nieoczekiwany kompan.

– Wchodź i nie gadaj!

Tym razem Miquel nie miał szczęścia. Pani Gabriela, dozorczyń, pojawiła się w korytarzu, prawdopodobnie żeby zamknąć drzwi wejściowe. Przywitała się z nim, natomiast jego towarzysza zmierzyła wzrokiem od stóp do głów, robiąc przy tym kwaśną minę. Przynajmniej nie zadała żadnych pytań. Kiedy dotarli na piętro, Miquel ciężko dyszał, jak zresztą zawsze. Chodzić mógł do woli, ale wspinaczka po schodach kosztowała go coraz więcej. Gdy otworzył drzwi, wystraszył się, że Patro wyskoczy na korytarz bez bielizny, gotowa spełnić swoją obietnicę.

Wtedy przynajmniej Lenin padłby na zawał i problem byłby z głowy.

Patro rzeczywiście wyskoczyła na korytarz, ale szczerze owinięta w skromny szlafrok i w domowych pantoflach. Widząc, że mąż wraca w towarzystwie, zatrzymała się.

Miquel dokonał prezentacji.

– Patro, to Agustí Ponç, ale wszyscy mówią na niego Lenin. – Cmoknął. – Lenin, to Patro, moja żona.

– Bardzo mi miło, proszę pani. – Złodziejasek wyciągnął do niej kościstą rękę i pochylił się w ukłonie. – Gratuluję.

– Czego? – zdziwiła się Patro.

– Jest pani piękna, proszę pani. Właśnie o tym mówiłem panu inspektorowi.

Miquel przejął inicjatywę, a gość i żona ruszyli za nim. W salonie wskazał krzesło.

– Siadaj.

– Dziękuję.

– Pójdę sobie – odezwała się niepewnie Patro.

– Nie, zostań – poprosił Miquel.

– Na pewno? – Nie kryła zdziwienia.

– Po to, żebyś mnie powstrzymała, jeśli zobaczysz, że się na niego rzucam i chcę go udusić.

– A pan, inspektorze, zawsze taki dowcipny i z polotem – odezwał się Lenin, rozwiewając nieco wątpliwości Patro.

– Nie prowokuj mnie, Lenin.

Stary złodziej przełknął ślinę.

– Wybaczcie.

Patro zajęła trzecie krzesło, pilnując, żeby jej szlafrok się nie rozsunał w dolnej części, podczas gdy górną przytrzymała ręką.

– A teraz mów wreszcie, co się dzieje – poprosił Miquel bardzo poważnym tonem. – Chciałbym się znaleźć w łóżku za dwieście, góra piętnaście minut – dodał bez większych nadziei, że uda

mu się zrealizować marzenie. – Co to za kłopoty, w które się wpa-  
kowałeś i w których potrzebujesz akurat mojej pomocy?

Lenin zaczął szukać wsparcia – albo może ukojenia – w spo-  
koju, jaki emanował z twarzy Patro. W końcu odetchnął głęboko,  
wbił spojrzenie w podłogę, a chwilę później uniósł je na swojego  
gospodarza.

Był szalenie poważny.

A strach przesączał się wszystkimi porami jego skóry.

– No więc, panie inspektorze, wszystko zaczęło się, jak ukrad-  
łem aktówkę – rozpoczął opowieść.

# 3

Miquel zamknął oczy.

Niezły początek.

– Lenin, ty ciągle parasz się złodziejstwem?

Jego nieoczekiwany gość spuścił wzrok. Łachudra był z niego nie byle jaki, ale – chyba po raz pierwszy w życiu – szczerze się zasmucił, a nawet zmarkotniał.

– Co mam niby robić, inspektorze?

– Pracować.

– Jakby to było takie łatwe! Kiedy człowieka raz naznaczą... Ale dawno już nikt mnie nie przyskrzypił.

– Masz, do cholery, dwójkę dzieci! Choćby dla nich powinien się prowadzić jak należy!

– Przecież się prowadzę: robię dokładnie to co trzeba dla moich dzieci. Żeby nie umarły z głodu... – Spojrzał na Miquela z powagą i determinacją, o jaką ten nigdy by go nie podejrzewał, jakby stał się nagle dorosły i porzucił typową dla siebie paplaninę i styl zrezygnowanego wiecznego nieudacznika. – Będzie mi pan teraz prawić kazania?

– Niczego nie będę ci prawić, co najwyżej przy...! – Miquel

nie skończył zdania przez wzgląd na Patro; próbował się uspokoić i opanować nerwy.

Bo brały nad nim górę. I to bardzo.

– Widzę, że nie powinienem był przychodzić – stwierdził Lenin.

– No dobrze, ukradłeś aktówkę. I co dalej? – zachęcił go do mówienia Miquel.

– Raczej teczkę, taką nauczycielską. Z dwoma paskami i zapięciem.

– Gdzie ją ukradłeś i komu?

– O tym właśnie chciałem opowiedzieć. – Lenin zastanawiał się przez chwilę. – Było tak: szedłem sobie spokojnie, rozmyślając o własnych sprawach...

– Raczej szukając kogoś nieostrożnego.

– Do diabła, inspektorze!

– Dasz mu w końcu powiedzieć? – wtrąciła się Patro. – Jeśli będziesz mu co chwila przerywać, nigdy nie skończy.

Miała rację.

Zwłaszcza co do tego, że Lenin nigdy by nie skończył.

– I zobaczyłem tamtego mężczyznę, obcokrajowca, co do tego nie ma wątpliwości, i teczkę ze skóry, naprawdę piękną. Pomyślałem, że już za samą teczkę coś dostanę, ale gdyby w środku znalazły się pieniądze albo dokumenty, takie, co to chodzą na czarnym rynku, albo jakieś inne wartościowe papiery, zysk mógłby być naprawdę niezły.

– Więc ją zabrałeś.

– Właściwie nie wiem jak i kiedy, przysięgam panu! – Tym razem Lenin nie odwrócił wzroku, bo chciał wypaść bardziej wiarygodnie. – Nagle miałem już teczkę w ręce i biegłem. Zadziałał instynkt, szósty zmysł, sam nie wiem co.

– Ja to nazywam przyzwyczajeniem.  
– Więc pewnie przyzwyczajenie.  
– Ktoś cię widział?  
– Nie. Dobiegłem do rogu ulicy i nie usłyszałem jednego krzyku za plecami. Oczywiście nie odwracałem głowy. Pobiegłem dalej. A wtedy...

– Chwila. Gdzie ukradłeś tę teczkę?  
– Na Gran Via, na rogu z Aribau. Jakaś taksówka zderzyła się akurat z ciężarówką, gratem, co to już ledwo rzeźił, zanim taksówka w niego wjechała. Obydwaj kierowcy wysiedli, taksówkarz wściekł, a ten z ciężarówki, biedaczyna, cały zapłakany. Jęczał, że to jego ruina, że to i tamto i co on teraz pocznie. Zaczęli się wyklócać i wokół nich zebrali się ludzie. Wsiadł też pasażer taksówki.

– Właściciel teczki.  
– Tak. Wysoki mężczyzna, rudy, około trzydziestoletni, ale nie jestem pewien, bo czasami obcokrajowcy potrafią zmylić, jak w czasie wojny, kiedy poszedłem z Durrutim i...

– Lenin...  
– Wiem, wiem. – Złodziejaszek skoncentrował się na faktach, rezygnując z zamiaru przywołania swoich wielkich dokonań na polu wojennej chwały. – Rudy bronił taksówkarza, chociaż po kastylijsku mówił bardzo źle, ledwo dało się go zrozumieć. Ja też się zainteresowałem awanturą, jak wszyscy... I co tu dużo mówić... Aktówka... to znaczy teczka... leżała na tylnym siedzeniu w taksówce. Jakby sama do mnie wołała, żebym ją zabrał.

– Więc zabrałeś teczkę i w nogi, co?  
– Już panu mówiłem, że nikt mnie nie widział.  
– Co było w tej teczce?  
– A to jest najciekawsze: nic.

– Coś w niej musiało być.  
– No więc nie, proszę pana. Żadnych dokumentów ani pieniędzy. Musiał je nosić przy sobie. A w teczce miał tylko papiery, po amerykańsku chyba, i coś w rodzaju katalogu ze zdjęciami obrazów, z odręcznymi notatkami.

– Wielki biznes.

– Sam pan widzi. – Lenin wzruszył ramionami. – W jednej z kieszonek znalazłem klucz do pokoju w Ritzu.

– Goście zazwyczaj zostawiają klucze w recepcji, kiedy wychodzą.

– On nie zostawił. Bo że to był jego klucz, to jestem w stu procentach pewien. Nie spędzam życia, pomieszkując w hotelach, tym bardziej tych luksusowych, ale co nieco widziałem.

– I to wszystko?

– W środku znalazłem też kilka wizytówek. Nazywał się Alexander Peyton Cross.

– Dlaczego mówisz o nim w czasie przeszłym? – zdziwił się Miquel.

Lenin przełknął ślinę z głuchym, gardłowym odgłosem.

– Bo on nie żyje, panie inspektorze.

Patro zmarszczyła czoło. Miquel zmienił się na twarzy. Opowieść Lenina dopiero się zaczęła, a już pojawił się w niej trup.

A to nie wróżyło niczego dobrego.

– Skąd wiesz, że nie żyje, skoro pobiegłeś z teczką, a jej właściciel, zajęty kłótnią, został na środku ulicy?

– Mam przejść od razu do końca, czy wyjaśnić wszystko krok po kroku?

Zapadła już noc, a Lenin siedział w jego domu, w salonie, jak kłopotliwy i nieprzyjemny wrzód na dupie.

Lecz było już za późno, by go wyprosić.



- Mów dalej. – Miquel westchnął cicho.
- No więc tak, stałem tam z teczką, ale przecież nie mogłem za długo się kręcić z aktówką w ręce, jakby była moja... Nijak do mnie nie pasowała. Musiałem się jej pozbyć.
- Sprzedałeś ją?
- Nie, poszedłem do domu, żeby się zastanowić.
- I przy okazji sprawdzić dokładnie papiery.
- To też, ale nic z nich nie zrozumiałem.
- A ten katalog?
- Mówiłem już panu, że to były zdjęcia przyklejone do papieru. Jakby ktoś je wyciął, jedno po drugim, poprzyklejał na osobnych kartkach i pod spodem podpisał. Nie wiem, czy mówię jasno?
- Czyli to nie był katalog.
- Nie?
- Wszystko jedno... Ale wtedy coś cię tknęło, zgadza się?
- Leninowi zaświeciły się oczy.
- Szczwany lis z pana, inspektorze. – Spojrzał na Patro. – Pani mąż miał już nosa w latach trzydziestych, proszę pani, a w tamtych czasach to ja niewiele jeszcze kumałem! Miałem ledwo dwadzieścia parę lat...
- Przestaniesz wreszcie zbaczać z tematu?
- Lenin wrócił do swojej opowieści.
- Długo się nad tym zastanawiałem, wie pan? Przyglądałem się papierom, katalogowi... czy co to było, i naszła mnie myśl, że może to wszystko ma jakąś wartość dla tego człowieka, a jeśli tak, to...
- Dostrzegłeś dla siebie okazję.
- Tak – przyznał Lenin.
- Poszedłeś się z nim spotkać?

– Najpierw do niego zadzwoniłem, do hotelu. Wczoraj wieczorem. Pewnym siebie głosem człowieka interesów poprosiłem o połączenie z czterysta trzynaście, dając do zrozumienia, że znam gościa, który zajmuje ten pokój.

– Boże święty! – Miquel uniósł brwi.

– Odebrał, więc mu powiedziałem, że znalazłem teczkę na kupie śmieci, a w środku był klucz do jego pokoju w Ritzu i że przypuszczam, że mu ją skradziono i może dałby mi jakieś znaleźne, jeśli mu ją zwrócę.

– Co odpowiedział?

– Najpierw wydawał się zaskoczony. Potem mi podziękował i powiedział, że oczywiście, da, bo dla niego ta teczka to cenna rzecz. Sądziłem, że będzie ją chciał dostać natychmiast, choć zrobiło się już późno, ale proponował, że będzie na mnie czekać dzisiaj rano w Zurichu, przy placu Catalunya.

– Nie zdziwiło cię to?

– No... raczej nie. Już mówiłem, że było późno.

– I co się stało rano?

– Wsadziłem teczkę do siatki na zakupy, żeby nie zwracać na siebie uwagi na ulicy, no i dlatego też, że stary wróbel ze mnie Rudy nie znał mnie przecież, ale ja jego owszem. Jeśli podejrzewał, że to ja ukradłem mu teczkę, i zamierzał się zjawić w towarzystwie glin... Kiedy dotarłem do kawiarni, nie wszedłem do środka, tylko przystanąłem na rogu, tam gdzie zaczyna się ulica Pelai. Z ostrożności, co nie? Czekałem, czas leciał, ale gość się nie pokazywał.

– Bo już był martwy.

– Powoli, dokąd panu tak spieszno? – Lenin uniósł rękę. – On sam się nie zjawił, ale przyszedł jakiś typek, który później za mną szedł.

– Skąd wiesz, że cię śledził? – Miquel aż zeszytywniał.

– Bo umiem co nieco wywąchać, tak jak pan, ale trochę inaczej: żeby zadbać o siebie – wyjaśnił ze szczerością. – Zdziwiło mnie, że ten rudy nie przyszedł, więc zacząłem obserwować kawiarnianych gości i przechodniów i instynkt podpowiedział mi, że coś tu nie gra. Zaraz dostrzegłem paru kandydatów, jeden miał coś pod ubraniem, o tutaj, pod pachą, gdzie nosi się kaburę z pistoletem. Zacząłem się bać. Mógł to być zwykły przypadek, ale mógł też nie być, więc wziąłem nogi za pas. Po pięciu minutach zobaczyłem w oknie wystawowym, że ten typ ciągnie się za mną jak cień. Sądzę, że on też mnie przyuważył.

– Jak wyglądał?

– Wysoki facet, masywny jak szafa, z tych, co to się nie uśmiechną, choćby miał ich zabić.

– Jak ci się udało go pozbyć?

– Szedł pewny siebie, myślę, że nawet nie podejrzewał, że go odkryłem. Uznałem, że na Rambli, w tłumie, nie odważy się nic mi zrobić. Przyspieszyłem i dotarłem do ulicy Robadors, a tam wpadłem do jednej takiej kamienicy, którą znam, bo ma wyjście na drugą ulicę. Przy okazji zostawiłem teczkę u siostry.

– U Consol?

– Tak, mam tylko jedną.

– Pracuje jeszcze?

– Oczywiście. Póki jej płacą! Ciągłe jest niezła, uwodzicielska...

– W porządku – przerwał mu Miquel. – Dlaczego pozbyłeś się teczki?

– Na wszelki wypadek, gdybym znów wpadł na tamtego gościa. – Twarz Lenina wykrzywił grymas cierpienia. – Panie inspektorze, nie urodziłem się wczoraj, co nie? W tej teczce musi coś być i to coś bardzo cennego, inaczej po co takie zawracanie głowy, żeby ją odzyskać?

– A dlaczego przyszedłeś z tym do mnie?  
– Bo się boję, tamten gość mnie widział, więc skoro sprzątnęli już rudego...

– Wyjaśnij mi to. Skąd wiesz, że Peyton nie żyje?  
– Zadzwoiłem jeszcze raz do Ritza, żeby mu powiedzieć, że nie chcę kłopotów, że chcę oddać mu teczkę, a jeśli nie, to wyrzuci ją do śmieci i spokój. Wtedy telefonistka, bardzo zdenerwowana, kazała mi najpierw czekać, a potem oddała słuchawkę jakiemuś mężczyźnie, też pewnie z recepcji. A on mi powiedział, że pan Peyton już u nich nie mieszka, ale był prawie tak samo zdenerwowany jak telefonistka. Mnie nie da się tak łatwo spławić, co nie? Znów coś wyczułem i poszedłem do Ritza, żeby się tam rozejrzeć.

– Nie wpuściliby cię w takim stroju.  
– Może i nie, ale nawet nie trzeba było wchodzić do środka. Kiedy przyszedłem, na miejscu była już policja i zobaczyłem, że wynoszą z hotelu ciało owinięte w prześcieradło i wkładają je do ambulansu. Na ulicy aż huczało od plotek, bo ktoś z samego Ritza powiedział, że pokojówka znalazła jakiegoś Anglika, który popełnił samobójstwo w wannie... No, ale skoro to było samobójstwo, to co tam robił komisarz policji?

Miquela zmroziło aż do kości.

– Amador?  
– We własnej osobie!

Miquel wolał nie patrzeć na Patro. Groźba komisarza, że ich trzecie spotkanie od powrotu Miquela do Barcelony będzie ostatnim, nie dawała o sobie zapomnieć.

– Ze strachu prawie się pos... Przestraszyłem się bardzo, panie inspektorze. – Lenin skierował pełne szacunku spojrzenie w stronę Patro. – Rzuciłem się do ucieczki i nagle zdałem sobie sprawę z jednej rzeczy, o której wcześniej nie pomyślałem.

– Czyli?

– Podczas wypadku z taksówką, jak panu mówiłem, Anglik mówił po kastylijsku bardzo źle, a akcent to już miał tragiczny, jakby napchał dwadzieścia gum do gęby. Jednak mężczyzna, z którym rozmawiałem wczoraj wieczorem, nie miał żadnego akcentu. Musiał być tutejszy.

– To znaczy, że rozmawiałeś z zabójcą. To nie mogło być samobójstwo.

– Widzę, że pan już się domyślił. – Lenin nagle pobladł.

– Ale gdyby ta teczka rzeczywiście była tak ważna, to wołałby się z tobą spotkać wczoraj wieczorem, mimo że było późno.

– Tego to ja nie wiem. Wiem tylko tyle, że jestem dla niego przeszkodą, potencjalnym świadkiem... A jeśli wmieszany jest w to wszystko komisarz, to tym gorzej. Od kilku dobrych godzin trzęsę się na samą myśl o tym... Nie mam pojęcia, co robić, boję się wrócić do domu. A jeśli ten morderca mnie znajdzie? Zawsze powtarzałem, że umrę młodo, na ulicy, ale teraz, kiedy mam Paueta i Isabeló...

– Twoje dzieci?

– Tak. One i Mar, która jest całym moim życiem.

Miquel odchylił się na oparcie krzesła.

Już nie myślał o łóżku.

Wytrzymał spojrzenie Patro, poważne i zatroskane, lecz nie było w nim śladu niezadowolenia z nieoczekiwanego pojawienia się Lenina w ich życiu.

Zawsze solidaryzowała się ze słabszymi.

– Agustí – zwrócił się do Lenina po imieniu.

– Słucham, inspektorze.

– A co ja, twoim zdaniem, mam z tym wszystkim zrobić? – wycodził przez zęby Miquel, czując nagle zmęczenie.